

Ostatni zgasi światło na scenie

– Środowisko teatralne jest w żenujący sposób skonfliktowane i w gruncie rzeczy konformistyczne – mówi **Jan Klata** przed premierą „Czego nie widać” na Scenie Kameralnej Teatru Wybrzeże w Sopocie 9 lipca.

JACEK CIEŚLAK

Trudne warunki życiowe i ekonomiczne zmusiły czołowego polskiego reżysera teatralnego do zajęcia się farsą?

Oczywiście: pogarszające się warunki życiowe Polek i Polaków, turbulentna i potencjalnie tragiczna sytuacja geopolityczna naszej ojczyzny, ogarniający Europę kryzys sensu czegokolwiek oraz immanentne i paraliżujące poczucie zagrożenia. Z tych wszystkich powodów zdecydowałem się zrobić spektakl „ku pokrzepieniu serc”. Staram się nie być reaktywny w swoich wyborach repertuarowych. Tematyką ukraińską zająłem się w „Termopilach polskich” zrealizowanych w śp. Teatrze Polskim we Wrocławiu. 1 września 2021 wyreżyserowałem „Borysa Godunowa” na Litwie, w cieniu rosyjskich czołgów szycujących się do inwazji na Ukrainę. Cztery lata temu wyreżyserowałem w Teatrze Wybrzeże „Trojanki” o ofiarach brutalnej wojny. Mogę więc powiedzieć, że tragiczną tematykę wojny, środkowo-europejskie i trojańskie hekatombym mam już rozpoznane bojem, teraz niech się z nimi mierzą koleżanki i koledzy, a ja postanowiłem wybiec w przyszłość i być gotowy na granie na froncie, właśnie dla pokrzepienia serc, dla naszych chłopców w mundurach.

Brzmi groźnie.

Taki czas. Jesteśmy gotowi do występów na bezpośrednich tyłach frontu. Zanim na sobotniej premierze zameldują się cywile, będziemy mieli pokazy dla żołnierzy, a konkretnie dla marynarzy i pilotów. Poprosiliśmy ich, żeby przyszli w mundurach.

Szkoda, że nie pokaże im pan „Trylogii”.

„Trylogię”, „Hamleta” i „Wesele” już zrobiłem, więc myślę, że mogę sobie pozwolić na farsę, a nawet arcyfarsę.

A czy chodził pan wcześniej do teatrów farsowych, obserwować, jak to się robi, czy jak większość artystów w teatrze dramatycznym raczej farsą gardził?

Nie gardziłem, ale i nie chodziłem. Oczywiście farsa

to gatunek w ambitnym teatrze „źle obecny”. Myślę, że kluczowe jest słowo gatunek. Podobnie jak w przypadku musicalu „Lazarus” w Teatrze Capitol we Wrocławiu – chodzi mi o znalezienie wolności wyrazu wewnątrz bardzo określonego idiomu. Zaryzykuję tezę, że zarówno musical, jak i farsa są źle obecne w teatrze „artystowskim”, ponieważ wymagają do bólu żmudnej pracy, precyzji i dyscypliny, solidnego i mierzalnego rzemiosła. Żeby podnieść stawkę i poczuć dreszczyk ryzyka, nie wybrałem farsy jakiegokolwiek, tylko najważniejszą, najśmieszniejszą, najbardziej znaną: arcyfarsę.

Czy oglądał pana ekranizację Pełera Bogdanovicha z Michaelem Caine’em?

Nie. Zapewne obejrzę sobie film po mojej premierze, nie ma sensu się sugerować. Wracając do sensu farsy w tragicznych czasach: chodzi o wyjście z teatralnego getta, bo mam wrażenie, że obecne życie teatralne w Polsce zbyt często rozgrywa się w kółkach wzajemnej adoracji, bez myślenia o widzach innych niż krewni i znajomi królika.

Autor farsy budzi szacunek. Michel Frayn tłumaczył Czechowa, ma na koncie nominacje i nagrody.

No i mamy znakomite tłumaczenie. Małgorzata Semil z Karolem Jakubowiczem stworzyli lepszy tytuł niż w oryginale. „Czego nie widać” to dużo lepiej niż „Noises off”.

Powiedzmy, o czym jest spektakl.

Trzy akty opowiadają o trzech kolejnych etapach tworzenia i eksploatacji przedstawienia teatralnego. Najpierw uczestniczymy w mocno nerwowej ostatniej próbie generalnej spektaklu „Co widać”. W drugim akcie oglądamy przebieg spektaklu od strony kulis, zaś w trzecim – schyłek tournée i totalną degrengoladę zarówno na scenie, jak i poza nią. Konstrukcja sztuki jest niezwykle kunsztowna, a my z moimi współpracownikami i znakomitą zespołem Teatru Wybrzeże staramy się znaleźć swoje miejsce, przedzierając się przez precyzyjną partyturę



Jan Klata i Katarzyna Figura (po prawej) podczas próby czytanej „Czego nie widać”

w poszukiwaniu swojego tonu.

Mamy wśród wielu motywów uzależnienie gwiazdy, aktorski romans oraz inne emocje, ale głównym tematem są ludzie teatru.

To spektakl o komedianach, którzy rozrywają innych za pieniądze, trochę pod hasłem „śmiej się, pajacu”, bo z jednej strony mają swoje role zawodowe, ale na to nakładają się ich prywatne sprawy, i te sfery zarówno się nakładają, jak i rozjeżdżają. Wywołując przy tym śmiech, zażenowanie, lęk, zdegustowanie. Powiedzmy sobie szczerze: to bardzo przypomina etap, na jakim znajduje się obecnie teatr w Polsce. Równie dobrze moglibyśmy grać pod tytułem „Ostatni gasi światło”.

Chyba się domyśliłem, że chce pan przy okazji pokazać kondycję polskiego teatru, gdzie kolejne dyrekcje są zagrożone, ogranicza się wolność słowa, a artyści, zamiast bronić wspólnoty, są pogrążeni w personalnych i środowiskowych sporach.

Nie ma co bezpiecznie uderzać w jeden polityczny bęben: partia rządząca przejmując, co może, orze, jak może, ale władze liberalnych miast popełniają błąd za błędem, od dekad nie mając zielonego pojęcia, w jakim kierunku powinny rozwijać się instytucje, nad którymi sprawują pieczę. Natomiast tzw. środowisko teatralne jest w żenujący sposób wewnętrznie skonfliktowane i głęboko w gruncie rzeczy konformistyczne, rządzące się stadnymi odruchami.

Prezydent Legnicy wypowiedział umowę na prowadzenie teatru w mieście.

Myślę, że to początek lawiny.

A czy panu zdarzały się katastrofy przed premierami, przypominające „Czego nie widać”?

Oczywiście, w strefie komfortu można umrzeć z nudów. No risk, no fun, Pierwsza generalna „Lochów Watykanu” we wrocławskim Teatrze Współczesnym za śp. Krystyny Meissner była taką katastrofą, że tylko szczęśliwym zrządzeniem

losu dyrekcja nie odebrała mi reżyserii, bo miała grypę. Pierwsza próba generalna „Trylogii” w Starym Teatrze trwała w nieskończoność i była kompletnie bez sensu. Takie rzeczy się zdarzają i będą się zdarzać, bo pracujemy z żywą materią. Tak jak dążymy do stworzenia czegoś więcej niż prosta suma naszych talentów, tak również potrafimy doprowadzić do sytuacji tragikomicznych. Komicznych dla widzów, tragicznych dla nas.

Dodam, że „Lochy” były potem wydarzeniem, zaś „Trylogia”

wielkim przebojem. Jak to się dzieje?

Że się jednak spada na cztery łapy? Trzeba mieć szczęście: do dyrektorki bądź dyrektora, do współpracowników, do aktorów.

Ale w takiej sytuacji można też reżysera wykończyć, podstawić mu nogę. Jak to się mówi: zatknąć głowę ofiary ponad teatrem.

Tak, to też mi się zdarzało, oczywiście, ale tylko kilka razy.

Gdzie?

Serce mi krwawi, jak to wspominam... W Wybrzeżu tak nie jest, choć aktorzy żartują, że czasami specjalnie w taki sposób prowadzę próby, aby byli w podobnym stanie jak bohaterowie sztuki. A serio: praca jest żmudna, ale wielce odświeżająca, jako że w tym sezonie nie miałem jeszcze okazji reżyserować w Polsce. Robiłem inscenizacje na Litwie i w Szwecji i bardzo tęskniłem za pracą w ojczyźnie, w moim ojczystym języku.

Czy jest szansa, że kolejne przedstawienie zrobi pan w Polsce?

Odpowiedź na to pytanie zależy od wielkiej polityki, zwłaszcza że planuję spektakl o bezgranicznej beczelności zła. /©©